

MAŁA  
WOJNA

The image features the Polish phrase "MAŁA WOJNA" (Little War) written in a bold, black, hand-drawn font. The text is arranged in two lines: "MAŁA" on top and "WOJNA" below it. The word "MAŁA" has a small green leaf-like shape above the letter 'A'. The word "WOJNA" has a small green leaf-like shape to its left. The background is plain white.

Katarzyna Ryrych

**Mała wojna**

© by Katarzyna Ryrych

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:

Joanna Rusinek

Korekta:

Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-655-7

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2019  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630 23 81  
www.wydawnictwo**literatura**.pl



– Ktoś tutaj jest! – Lilka chwyciła mnie za rękę.

Wzruszyłam ramionami. Dawno przestałam reagować na jej pomysły, jako że straszyla mnie po kilka razy dziennie.

Była wojna i dokoła działy się naprawdę okropne rzeczy, których należało się bać. Duchy, upiory i inne straszdyła, którymi zaludniała świat, nie robiły już na mnie wrażenia.

– Ktoś tutaj jest – powtórzyła.

Jej oczy były szeroko otwarte, a dolna warga drżała.

Tak, moja siostra była doskonałą aktorką. Gdybyśmy mieszkały w Ameryce, z pewnością przyćmiłaby Shirley Temple\*.

Otworzyłam futerał ze skrzypcami.

W pokoju panował delikatny półmrok, a stojący na środku fortepian przypominał przyczajone czarne zwierzę, szczerzące kły. Wzdrygnęłam się mimo woli.

---

\* Shirley Temple – amerykańska dziecięca gwiazda filmowa z lat trzydziestych XX wieku.

Lilka podeszła do instrumentu i w tej samej chwili za naszymi plecami rozległ się dziwny hałas.

Obejrzałam się i dostrzegłam leżącą na podłodze książkę.

– A nie mówiłam! – krzyknęła Lilka i wpiła się palcami w moje ramię. Nogi wrosły mi w ziemię.

Cokolwiek się stało, tym razem moja siostra nie żartowała. Nie byłyśmy same.

W mrocznym salonie Maestra był ktoś jeszcze, ktoś niewidzialny, kto właśnie strącił z półki tom encyklopedii.

– Cóż to za krzyki? – Wysoka, chuda postać Maestra wyrosła jak spod ziemi. – Dlaczego nuty nieprzygotowane? – zapytał. – I dlaczego to leży na podłodze?

Podniósł książkę, rozprostował pogniecione kartki i wsunął ją tam, skąd wypadła.

– Ktoś ją strącił – powiedziałam, starając się zapamiętać nad głosem.

Maestro długimi krokami przeszedł przez pokój i otworzył okno. Do salonu wpadł zapach dymu z ogniska.

– Kto strącił książkę? – zapytała Lilka.

Maestro wyjął z futerału smyczek i przeciągnął po nim kalafonią\*. A to oznaczało koniec rozmowy.

– Proszę do fortepianu – wskazał Lilce krzeselko. – A panna do skrzypiec. – Długi, chudy palec Maestra zastukał w leżący na stole instrument.

\* Kalafonia – przezroczysta masa m.in. do nacierania smyczków.



Lekcje muzyki były czymś, co według mamy miało zapewnić nam poczucie względnej normalności. Brałyśmy je od kilku lat, czyli od czasu, kiedy jeszcze w naszym domu – podobnie jak w wielu innych – nie padło słowo „wojna”.

W połowie sierpnia 1939 roku wojna zabrała nam tatę – razem ze swoim oddziałem wyruszył walczyć z wrogiem, biorąc ze sobą naszą ukochaną klacz Bajkę, i wszelki słuch po nim zaginął. Mama popłakiwała po kątach i jedynie babcia wierzyła niezłomnie, że któregoś dnia dowiemy się, że żyje. A my – Lilka i ja – ufałyśmy babci jak nikomu innemu na świecie.

Bo babcia przeżyła już kilka dziejowych zawieruch i umiała odnaleźć się w każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji.

Z nadejściem wojny tak naprawdę nie zmieniło się nic, prócz tego, że zamknięto szkołę i mama spędzała z nami długie wieczory nad podręcznikami.

– Musicie się uczyć – powtarzała.

Lekcje z mamą nie przypominały w niczym szkolnych zajęć. Składały się głównie z czytania klasyki, *Trylogii*, wierszy Mickiewicza i książek przyrodniczych, bo mama zawsze interesowała się przyrodą.

– Macie obowiązek uczenia się – mawiała.

Tymczasem wojna straszyla nas dudnieniem czołgów na drodze, wybuchami bomb oświetlającymi miasto

i echem dalekiej kanonady. Ale jak dotąd nie przekroczyła furtki naszego ogrodu.

Zmieniały się pory roku, a przez miasteczko przetaczały się oddziały radzieckie. Żołnierze o dziwnie płaskich twarzach nocami grali na harmoniach i pili wódkę. Nędznie ubrani, wiecznie głodni, wpadali na podwórka i zabierali wszystko, co dało się zjeść.

A potem odchodzili.

Najtrudniejsza była pierwsza zima. Lilka zachorowała na stawy, puchły jej palce i coś skrzypiało w kolanach, a ja ciągle miałam katar. Bez przerwy lało mi się z nosa, moje usta były wiecznie spierzchnięte i w niczym nie przypominałam dziewczynki z fotografii, która stała na toaletce w pokoju babci.

Ale nasz dom trwał nienaruszony.

Czerwiec 1941 roku przyniósł wielkie zmiany, które również w niewyjaśniony sposób ominęły nasz niewielki dom.

Natomiast w mieście zmieniło się sporo. Pewnego dnia odkryłam, że mój ulubiony sklepik, w którym – zanim nadeszła wojna – kupowałyśmy pomarańcze i chałwę, został zamknięty. Okna zabito deskami, a na drzwiach pojawiła się żelazna sztaba.

Podobnie stało się z gabinetem dentysty, jedynym, którego nie bałyśmy się odwiedzać.



– A gdzie jest doktor Goldberg? – zapytałam, kiedy pewnego dnia przechodziłyśmy obok niewielkiego białego domu.

– Wyjechał – odpowiedziała mama, ale chyba nie mówiła prawdy, bo kiedy drugi raz zapytałam ją o to samo, odparła, że po prostu zamknął gabinet.

Zrobiło mi się trochę przykro, bo syn doktora Goldberga, Marek, bardzo mi się podobał. Miał czternaście lat i kochały się w nim wszystkie moje koleżanki.



Zniknęły również czarnowłosa Sara, z którą dzieliłam szkolną ławkę, i Cyrla, córka cukiernika, i Bluma, której tata prowadził niewielki sklepik bławatny\*.

Nie zniknęły natomiast Krysia ani Magda, ani Halinka. Czasami zdarzało mi się spotkać którąś z nich w miasteczku, ale żadna nie wiedziała niczego o losach naszych zaginionych koleżanek.

Podobnie stało się ze znajomymi Lilki. Po prostu zniknęli razem ze swoimi rodzinami. A wszystko otaczała jakaś mroczna tajemnica.

Na pytania, jakie zadawałyśmy, dorośli mieli tylko jedną odpowiedź: „Nie wiem, kochanie”.

– Proszę przestać myśleć o niebieskich migdałach!  
– Maestro stuknął smyczkiem w stół. – Strona siedemnasta, Rieding\*\*, *Koncert h-moll*.

Oparłam policzek o ciepłe drewno skrzypiec i wydo-  
byłam pierwszy dźwięk.

Przez twarz Maestra przemknął cień uśmiechu.

– Dobrze, dobrze – mruzczał, kiwając głową.

Za to Lilce szło fatalnie. Gubiła rytm, myliła klawisze i zupełnie nie zwracała uwagi na to, co mówił do niej Maestro.

– Dość! – krzyknął na koniec. – Wszystko, wszystko do powtórki. Absolutnie wszystko. Albo traktujemy coś poważnie, albo się bawimy.

\* Sklepik bławatny – sklep z tkaninami.

\*\* Oskar Rieding (1840–1918) – niemiecki kompozytor i skrzypek.

Zobaczyłam, że Lilce broda drży tak, jakby miała się za chwilę rozpląkać.

– Ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. A teraz – do domu!

Po raz pierwszy Maestro był tak surowy. Zazwyczaj przymykał oko na drobne potknięcia i cierpliwie czekał, aż zagramy naprawdę dobrze. Ale dzisiaj... Dzisiaj coś musiało wyprowadzić go z równowagi. Być może przyszło mu do głowy, że wymyśliłyśmy sobie historię z książką dlatego, że Lilka nie przygotowała się do lekcji.

Wracałyśmy do domu w milczeniu.

– Teraz mi wierzysz? – zapytała Lilka, zatrzymując się na środku alejki.

Zaczynało się ściemniać. Była to pora, o której po winnyśmy były siedzieć w domu, a przynajmniej tego wymagała od nas mama.

– Tak – odpowiedziałam.

Odwróciłam się i spojrzałam na dom, z którego przed chwilą wyszłyśmy. Z daleka wyglądał jak niezamieszkały, z ciemnymi oknami i tarasem, na którym leżały pierwsze jesienne liście.

– Czyli już zawsze będą wakacje. – Lilka rzuciła teczkę z nutami na schody.

Zdziwiłam się, bo powiedziała dokładnie to, o czym pomyślałam.

– Dlaczego wróciłyście tak wcześniej? – zdziwiła się mama.

– Pan Stefan nie czuł się dobrze – błyskawicznie skłamała Lilka.

– Może czegoś potrzebuje? – zaniepokoiła się mama.  
– Trzeba było zapytać.

– To ja pobiegnę i zapytam – zaoferowała się Lilka.

Spryciara – pomyślałam. Tego właśnie zazdrościłam jej najbardziej. Znajdowała wyjście z każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji.

Skoro pan Stefan nie czuł się – według niej – dobrze i zwolnił nas (a nie najnormalniej w świecie – wyrzucił) z lekcji, mama gotowa była wybrać się na koniec naszej uliczki i zapytać, czy starszy pan czegoś nie potrzebuje. A wtedy Maestro powiedziałby prawdę.

Z drugiej strony poczułam coś w rodzaju satysfakcji. Na zewnątrz panował delikatny półmrok, a spomiędzy chmur przezierał rąbek księżyca. O tej porze – zgodnie z historiami opowanymi przez Lilkę – z mrocznych zakątków parku i pobliskich pól wylaziły tajemnicze stwory.

Powodzenia – pomyślałam.

Lilka wpadła do domu blada i zdyszana.

– Co ci się stało? – zaniepokoiła się mama.

– Biegłam – wyjaśniła. – Pan Stefan nie potrzebuje niczego. Po prostu rozboleł go ząb.

Mama współczująco pokiwała głową.

– Szkoda, że doktor Goldberg... – zaczęła i urwała.



– Że doktor Goldberg...? – podchwyciłam.

– Wyjechał – odpowiedziała. – Ale jest jeszcze doktor Wiśniewski...

Rzuciłam okiem na Lilkę. Chyba naprawdę zobaczyła jedno ze stworzeń, które powoływała do życia, aby mnie straszyc.

Dobrze jej tak – pomyślałam.

– Krysiu – babcia spojrzała na mamę. – Przynieś ze spiżarni kilka słoików.

Wrzesień był czasem robienia śliwkowych powideł i na piecu stał ogromny miedziany rondel wydzielający aromatyczną woń.

Pomyślałam, że nawet gdyby ogłoszono koniec świata, babcia i tak smażyłaby powidła. A śliwki tego roku były wyjątkowo piękne – ciemnogrnatowe, pokryte aksamitnym, białawym

nalotem i do tego słodkie. Tak jakby świat próbował wynagrodzić nam to, co działo się dokoła.

Kiedy mama wyszła z kuchni, Lilka wciągnęła mnie do pokoju.

– I co, widziałaś może ducha? – zakpiłam.

